TOŻSAMOŚĆ · RECENZJA

O LEWICY INACZEJ. RECENZJA „WIECZNEJ LEWICY” MARCINA GIEŁZAKA

Jakub Siemiątkowski · 9 października 2024

Co mógłby mieć „wieczny” lewicowiec do powiedzenia nie tyle jakkolwiek do-określonemu prawicowcowi, ile narodowcowi?



Triumf rewolucji francuskiej polega również na tym, że dziś prawicowcem nazywamy człowieka, który ma poglądy polityczne jakobina, zapatrywania ekonomiczne żyrondysty i obyczaje sankiuloty.

Wszystkie współczesne prawice zrodziły się na lewicy.
Z konserwatywnego oglądu zostało im jedno: obrona przywileju.

Marcin Giełzak

***Wieczna lewica* Marcina Giełzaka stała się jedną z tych książek, o których się mówi – które wręcz wypada przeczytać. Dobrze sprzedająca się, szeroko omawiana publikacja jest niezłym przyczynkiem nie tylko do napisania jej recenzji, ale też zmierzenia się z istotnym zjawiskiem, jakim z pewnością stała się popularność samej postaci redaktora podcastu „Dwie lewe ręce”. Co więc mógłby mieć „wieczny” lewicowiec do powiedzenia nie tyle**

jakkolwiek dookreślonemu prawicowcowi, ile narodowcowi?

Niewielkich rozmiarów książka dzieli się na pięć ksiąg, poświęconych kolejno: politykom, religii, państwom i narodom, obyczajowości oraz sylwetkom wybranych postaci historycznych. Łącznie znajdziemy tu prawie 770 aforyzmów – wszystkie one wprost bądź pośrednio składać się mają na narrację o „wiecznej lewicy", tak jak ją definiuje Marcin Giełzak. Nie powinno dziwić, że lewicowy tok myślenia autor stara się prezentować, odnosząc się także do spraw zupełnie archaicznych. Giełzak radzi bowiem, by początków lewicowości nie doszukiwać się w XIX-wiecznych pismach (ani w rewolucyjnym Zgromadzeniu Narodowym – dopowiada gdzie indziej), ale w postaciach Prometeusza i – to z chrześcijańskiej perspektywy niełatwe do zaakceptowania – Lucyfera. „Najpierw jest myśl, później czyn, a jedno i drugie poprzedza bunt. Kto wierzy w postęp i chce go przybliżyć, musi być złodziejem ognia, który hojnie szafuje sobą" – pisze autor, nawiązując do tego pierwszego. Lewicowiec, będąc buntownikiem, jest także budowniczym – dodaje Giełzak, i tu się chyba kryje słaby punkt zestawiania przez niego obu tych figur. O ile bowiem w przypadku Prometeusza, uczącego ludzi uprawy czy rzemiosła, taka formuła buntownika-budowniczego sprawdza się nieźle, o tyle już trudno powiedzieć, co służącego ludzkości stworzył Lucyfer.

> Może to tu zawiera się właśnie różnica pomiędzy buntem twórczym, niosącym nowe wartości, tworzącym nowy ład, a takim, który przybiera oblicze czysto destrukcyjne – używając obecnego w książce Giełzaka zestawienia, powiedzielibyśmy: pomiędzy rewolucją francuską a bolszewicką. Paradoks – podobnie stawiał sprawę Stanisław Grabski, faktyczny lider endecji czasów sejmokracji, ale też autor ciekawej pracy *Rewolucja. Studium społeczno-psychologiczne*.

Jak zresztą sugeruje Giełzak, ów bunt przeciw niesprawiedliwości mógłby być bliski wspólnotowej prawicy, może mógłby wręcz – na jakimś poziomie – połączyć obie zwaśnione strony: „Bunt uświęca. Kto nie szanuje Wandei, *requetés*, *cristeros*, ten nie ma serca po lewej stronie" – tylko czy byłoby to możliwe w praktyce, gdy na „ideowej" prawicy częsta jest pogarda dla „roszczeniowego" plebsu, a na lewicy karlizm i szuaneria mogłyby wzbudzić co najwyżej uśmiech politowania jako zjawiska skrajnie wsteczne, zdewociałe? Z drugiej strony, reakcyjne inspiracje i dla samego Giełzaka są chyba raczej ciekawostką – nawet jeśli godną szacunku. Nie bez racji, a konfrontacyjnie wobec prawicowej wizji dziejów, zauważa: „Tydzień tłumienia Komuny Paryskiej pochłonął więcej ofiar niż cały Wielki Terror jakobinów. «Biały terror» to białe kartki historii". Słusznie też zwraca uwagę na złudność prawicowego gadania o „starych, dobrych czasach" – wszak obalana przez rewolucje arystokracja bywała niejednokrotnie, z czysto prawicowego punktu widzenia, zbiorowiskiem degeneratów. „Rewolucja francuska odsunęła od władzy królewskie kochanki i faworytów. Ich miejsce zajęli mężczyźni ceniący równość, bezpośredniość, dyscyplinę, surowość obyczajów. Efekt? Francja podbiła całą Europę"; „Noblesse cesarstwa była bardziej nowoszlachecka niż nowobogacka, w istocie bardziej szlachecka od starej szlachty" – pisze autor *Wiecznej lewicy*.

Gdyby nawiązać tu do niedawnej afery wokół inauguracji igrzysk olimpijskich i towarzyszącej im promocji zachowań obscenicznych, doszlibyśmy do wniosku, że przysłowiowego „chłopa przebranego za babę" dałoby się znaleźć na dworze królewskim, pośród przeżartych libertyńskim nihilizmem arystokratów raczej niż wśród purytańskich, głoszących moralny rygoryzm rewolucjonistów. Doszukiwanie się genezy

russowskiej w takich zjawiskach ma podobny mniej więcej sens jak dopatrywanie się w liberalizmie i jego najgorszych owocach konsekwencji chrześcijańskiego wyemancypowania jednostki, tak jak to kiedyś robił Nietzsche, a dziś Benoist. Ziarno prawdy w obu przypadkach jest, ale gdzie nas ten tok rozumowania zaprowadzi? Trudno też nie zgodzić się z Giełzakiem, gdy ten zauważa, że „bojowiec z 1905 roku ma więcej wspólnego z rycerzem niż obywatel ziemski z 1905 roku". Można byłoby jedynie zadać pytanie, cóż pożytecznego w nadchodzących, trudnych czasach może tkwić w kultywowaniu tradycji tych ostatnich. No ale to już pytanie do naszej prawicy – nie zadeklarowanego socjaldemokraty. *Notabene* wprawiająca w zażenowanie odmowa poparcia dla upamiętnienia Stefana Okrzei przez posłów Konfederacji czy głupawe komentarze o rzekomym komunizmie tej szlachetnej, honorowanej szeroko w II RP postaci skłaniają do stwierdzenia, iż może jednak Giełzak ma trochę racji, gdy dowodzi, że PRL najwięcej szkód wyrządził właśnie tradycji patriotycznego socjalizmu.

Rozchodzi się tu jednak o pojęcia bardziej podstawowe. Nacjonalista, choć uznaje porządek za rzecz pożądaną, bez której trudno cokolwiek zbudować, nie jest konserwatystą, który gwałtownym (bądź głębokim) przemianom sprzeciwia się z zasady. Może, i niejednokrotnie tak już w historii się zdarzało, być na tej płaszczyźnie bliższy socjaliście. Na pewno walka o sprawiedliwość społeczną mogłaby połączyć narodowców i lewicę, jako zorientowanych na wspólnotę, sprzeciw wobec wyzysku człowieka, symbolizowanego przez liberalizm. Inaczej niż przeróżne postmodernistyczne odmiany lewicy, ta „wieczna" nie neguje też samego narodu – jest wręcz przeciwnie. „Właściwym habitatem socjalizmu jest naród, nie ludzkość, państwo ani świat. Nawet jego komunistyczna degeneracja uznała w końcu tę prawdę"; „Dla niewprawnego oka wygląda to tak: prawica – program narodowy, lewica – program klasowy. Uważny badacz wie, że jest dokładnie odwrotnie" – pisze Giełzak, i chyba tu zawiera się *clou* zagadnienia. Jakże często w historii retoryka narodowa okazywała się użytecznym narzędziem pacyfikowania przez elity buntujących się warstw. Tymczasem realny odruch nacjonalistyczny ma w swoim rdzeniu – czy to się komuś podoba, czy nie – zakodowany gen jakobiński, owo dążenie do tworzenia porządku, w którym to wspólnota narodowa, a nie klasowa, zawodowa czy regionalna, stanowi wspólny mianownik dla mas. Nie wymażą tego chłonięte przez narodowców różnych obediencji komunały o kontrrewolucji czy walce z socjalizmem. Świadomy nacjonalizm to nie tyle dbanie o uciemiężonych rzekomo przedsiębiorców, w których widzi się na koliberalnej, „ideowej" prawicy sól tej ziemi, ile walka o lud, uznanie go za rdzeń narodu – tak jak to widzieli pierwsi endecy, od Popławskiego i Potockiego począwszy, i tak jak o tym zdarzało się zapomnieć ich następcom, sprzymierzającym się z wielkim przemysłem i ziemiaństwem. W postulacie zwrotu w lewo należy widzieć powrót do korzeni, a nie przejaw zaczadzenia mitycznym socjalizmem, jak sugerują to niezbyt rozgarnięci komentatorzy. „[...] możemy sobie dziś bardzo mądrze odbrązowywać żyrondę, terror i Napoleona – ale mimo to wszyscy z nimi, a nie ze św. Franciszkiem i rycerskimi krucjatami do Ziemi Świętej, jesteśmy układem naszych stosunków związani" – to już nie Giełzak, a Karol Stefan Frycz, konserwatywny (!) narodowiec, który przed II wojną światową nawoływał, by dowartościowując tradycję, chociaż nie zaprzeczać faktom.

Mimo tych ciepłych słów, które wypada nam tu sformułować, nie jest jednak tak, że na *Wieczną lewicę* patrzeć należy jak na jakiś drogowskaz ideowy. Obok myśli, które nie powinny budzić większych wątpliwości, znajdziemy w omawianej książce i takie, z którymi należy podjąć polemikę. Największy problem jest tam, gdzie wielu mogło się go nie spodziewać – w stosunku do liberalizmu i wszelkich jego konsekwencji. Otóż na poziomie metapolitycznym do pewnego momentu wszystko w wywodach Giełzaka brzmi dobrze – „stara", wspólnotowa lewica i patriotyzm, walka z liberalizmem i wybujałym, niszczącym

tkankę społeczną indywidualizmem. Problem zaczyna się, gdy trochę ten obrazek poskrobać. W cytowanych aforyzmach obok szpil wbijanych w liberałów znajdziemy aprobatę dla czegoś, co można byłoby nazwać „prawdziwym liberalizmem" – takim, którego nie rozumieją sami liberałowie. „Socjaldemokracja, czyli tyle liberalizmu, ile trzeba, i tyle socjalizmu, ile można" – pisze Giełzak, dodając, że na nadużycia tego ostatniego liberalizm jest jedynym lekarstwem. W innym miejscu czytamy: „Jest tylko jedna rzecz gorsza od liberalizmu i jest nią antyliberalizm"; „Socjaldemokrację wolno rozumieć jako kolektywny liberalizm"; „Socjalizm, właściwie rozumiany, jest bardzo specyficzną odmianą liberalizmu. Jest to mianowicie liberalizm uporządkowany" – umiarkowanie to wszystko kojarzy się z tradycją „starej lewicy".

Widać ten problem również na konkretnych przykładach. Punktu odniesienia dla autora recenzowanej książki nie stanowią przeważnie jacyś przedstawiciele alt-leftu, bazujący na starolewicowych hasłach, ale mainstreamowi zachodni socjaldemokraci, śmiało spoglądający w stronę liberalizmu, jak Tony Blair czy – bardziej współcześnie – mdły generalnie Keir Starmer. W głośnej ostatnio sprawie wyborów we Francji Giełzak otwarcie zadeklarował, że głosowałby na kandydata „obozu republikańskiego" przeciw Zjednoczeniu Narodowemu. Kawiorowa lewica albo wręcz liberalni globaliści od Macrona jawią się tu jako lepsi niż ruch Marine Le Pen, ludowy, populistyczny i chyba bardziej patriotyczny niż nacjonalistyczny. To sytuacja zresztą odmienna niż w przypadku innego czołowego przedstawiciela polskiej, jak to się na prawicy mówi, „normalnej lewicy" – Remigiusza Okraski, który antyestablishmentowym populizmom, także tym pozornie prawicowym, niemalże z zasady sprzyja, bo uważa, że lewicowiec generalnie powinien stać po stronie ludu. W przeciwieństwie do redaktora „Nowego Obywatela" Giełzak raczej nie lubi populistów, entuzjazmu nie budzą w nim też społeczne ruchy antyliberalnego sprzeciwu, takie jak „żółte kamizelki". „Umiarkowanie albo śmierć" – pisze wprost, wypadałoby więc zapytać, jak się to ma do sympatii wobec XVIII- i XIX-wiecznych rewolucjonistów, którym z umiarkowaniem przeważnie nie było po drodze. Jak nauczał Talmon, choćby tacy jakobini, z całym swoim totalizmem i radykalizmem, więcej wspólnego mieli ze znienawidzonym przez autora *Wiecznej lewicy* komunizmem (ale też faszyzmem) niż umiarkowanymi współczesnymi czy XX-wiecznymi socjaldemokracjami.

> Zauważmy zresztą nieco złośliwie, że Giełzak – paradoksalnie – ma jednak całkiem sporo wspólnego z samą Marine Le Pen. W kwestiach kulturowo-obyczajowych liderka francuskich narodowców i autor *Wiecznej lewicy* reprezentują poglądy niemal tożsame: oboje głoszą narodowo-państwowy patriotyzm, mimo republikanizmu osadzony w wielowiekowej historii swojego narodu, walcząc z narracją kosmopolityczną. Oboje są za republiką laicką, choć szanującą katolicyzm jako tradycyjną religię większości swojego narodu. Oboje bez specjalnego entuzjazmu, jednak popierają legalność aborcji na żądanie czy śluby homoseksualne. W kwestii stosunku do imigracji oboje uznają, że należałoby ją znacząco ograniczyć, koncentrując się na „republikańskiej" asymilacji tych, którzy już przybyli. Oboje nie kwestionują obecnego porządku demokratycznego, bliskie obojgu są kwestie socjalne. Ponadto Marine, w przeciwieństwie do jej ojca, trudno przypisać czy to sympatię do państwa Vichy, czy sprawy OAS i Algierii Francuskiej – często za to powołuje się na bliskiego Giełzakowi de Gaulle'a.

Można oczywiście stwierdzić, że także w obecnym Zjednoczeniu Narodowym znajdziemy działaczy,

którzy się z tego szablonu wyłamują, czy jednak to sprawia, że ugrupowanie Marine jest mniej „republikańskie" niż stronnictwo Macrona – liberalne, momentami klasistowskie i odległe od ludu tak bardzo, jak się tylko w demokracji da? Giełzak ma może wątpliwości, czy Le Pen jest prawdziwą republikanką. Jeśli dobrze interpretuję jego tok myślenia (posiłkując się wywodem, który niegdyś zaprezentował lewicowy suwerenista Jean-Pierre Chevènement), chodzi tu o to, że Le Pen nie deklaruje dostatecznie mocno, iż formuła obywatelskiej francuskości jest zupełnie inkluzywna – gdzieniegdzie widać u niej elementy myślenia w kategoriach etnicznych, tak że ostatecznie wychodzi z niej nacjonalizm bardziej niż uniwersalizm. Lepiej więc poprzeć liberała niż nacjonalistę w wersji do bólu rozcieńczonej. Wydaje się, że pewne kalki rządzące się na współczesnej – niekoniecznie „wiecznej" – lewicy są nieobce również Giełzakowi.

Odwołajmy się może do warunków rodzimych, wszak autor książki lubi nazywać się „bezpartyjnym PPS-owcem". Być może nie powinno to wszystko, o czym mowa powyżej, zadziwiać kogoś, kto chociaż próbował poznać tradycje polskiej socjaldemokracji. Po wyprowadzeniu z PPS elementów autorytarnych i militarystycznych przez Józefa Piłsudskiego partia ta osiadła ostatecznie na pozycjach z naszego punktu widzenia nieakceptowalnych, co zresztą widać w ówczesnych polemikach. Nawet w sprawach, które wydają się tak bardzo współczesne, jak np. legalność aborcji, w latach 30. to właśnie w kręgach PPS dałoby się znaleźć obrońców jej depenalizacji. Nie zmienia to bynajmniej – najważniejszego w ich ocenie – faktu, że PPS-owcy zdali generalnie egzamin z polskości w czasie najistotniejszej próby, jaką była II wojna światowa. Podobnie trudno negować, że to właśnie PPS czy lewicujące kręgi SL najmocniej nagłaśniały realne problemy strukturalnego zacofania społeczno-ekonomicznego Polski, przeważnie stawiając sprawy sensowniej niż choćby główny nurt SN. Do tego dochodziły jednak żywy antyklerykalizm, funkcjonalny demoliberalizm czy wynikająca z niego naiwność w spojrzeniu na relacje międzynarodowe. Wspominam o tym, gdyż we współczesnej, płaskiej jak tafla wody, narracji głównego nurtu prawicy przedwojenny PPS nieraz uchodzi za partię niemalże chadecką – skoro nie popierano tam haseł LGBT (których właściwie nie było), skoro funkcjonował tam żywy i realny patriotyzm, no to ich lewicowość musiała się sprowadzać wyłącznie do obrony praw robotników. Otóż tak nie było. Jeśli więc zagłębimy się w szczegóły, to – zarówno z prawicowego, jak i narodowego punktu widzenia – Marcin Giełzak, z całym szacunkiem dla jego erudycji i patriotyzmu, może okazać się na pewnych etapach naszym towarzyszem podróży, ale raczej nie wzorem czy punktem odniesienia.

To garść zastrzeżeń, które należało tu sformułować. Zmuszają one do zastanowienia się nad faktycznie istniejącymi punktami wspólnymi pomiędzy „starą" lewicą a prawicą wspólnotową różnej maści, z włączeniem – niech już tak będzie – narodowców. Nie zmieniają te uwagi generalnie pozytywnego odbioru, z jakim u nacjonalisty spotkać się mogą zarówno *Wieczna lewica*, jak i sama działalność Marcina Giełzaka. Wszak żyjemy w warunkach, jakich żyjemy. Nie ma i długo pewnie nie będzie na horyzoncie realnej lewicy narodowej, podobnej – jeśli już operować odniesieniami przedwojennymi – do np. Związku Naprawy Rzeczypospolitej bardziej niż do PPS. Jako świadczące o lubowaniu się w okupowaniu miejsca na marginesie jawią się w tym kontekście złośliwostki zdolnego tradycjonalistycznego publicysty, jakim z pewnością jest Adam Danek, któremu zdarzyło się niedawno wyśmiewać przejawy (incydentalnej przecież) współpracy portalu Nowy Ład z Marcinem Giełzakiem[1]. Odnotujmy przy okazji, również nie bez złośliwości, że z podobną reakcją chyba nie spotyka się w tych kręgach fakt, iż staroendecką „Myśl Polską" dążenie do poszukiwań tej „dobrej", „zdrowej" i „niegenderowej" lewicy zaprowadziło do stałej współpracy z prof. Marią Szyszkowską. Ta – przypomnijmy – jeszcze przed kilkunastu laty była twarzą polskiego antyklerykalizmu i walki o legalną aborcję, w stopniu podobnym jak, dajmy na to, Marta Lem-

part dziś. Mimo wszystko to jednak zadziwia, a może i daje do myślenia. Po prostu wygląda na to, że alternatywę dla lewicy postmodernistycznej pokroju Biedronia znajdziemy obecnie raczej w „Nowym Obywatelu" czy „Dwóch lewych rękach", a nie w jakichś formach lewicy narodowej, którą moglibyśmy sobie wyobrazić, czytając pasjonujące historyczne opracowania.

To jednak wątki poboczne sprawy. Ostatecznie *Wieczna lewica* to całkiem interesująca lektura, która w kilku miejscach daje do myślenia. Należy życzyć autorowi, by na kadry środowisk lewicowych zyskała odpowiedni wpływ – bo mogłoby się to przysłużyć Polsce. Z lewicą taką, jaką reprezentuje Marcin Giełzak, w ogóle da się o czymś rozmawiać, jest jakiś wspólny mianownik pomiędzy nimi a nami, nie ma kwestionowania najbardziej rudymentarnych elementów życia wspólnotowego – a to już sporo. Naturalna jest więc aprobata dla działalności takich jak Giełzak „wiecznych lewicowców", natomiast zachwyty – już niekoniecznie.

---

[1] A. Danek, *Idea „trzeciej partii"*, https://www.nacjonalista.pl/2024/07/09/adam-danek-idea-trzeciej-partii/ [dostęp: 10.07.2024].

Marcin Giełzak, *Wieczna lewica*, Theatrum Illuminatum, Poznań 2023, ss. 223.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=Sc3nVfsCItg

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/o-lewicy-inaczej-recenzja-wiecznej-lewicy-marcina-gielzaka/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć